

Entomolog odkrywa antygrawitację – 1

4 sierpnia 2019

OD ENERGOGOMETRII DO ANTYGRAWITACJI

W świadomości psychotroników, różdżkarzy, bioenergoterapeutów i w ogóle osób interesujących się parapsychologią od lat funkcjonuje pojęcie „promieniowanie kształtu”, którego istnienia z różnych przyczyn – według mnie zupełnie nieuzasadnionych – uparcie nie chce przyjąć do wiadomości oficjalna, tj. akademicka, nauka. Jest to o tyle niezrozumiałe, że przecież każdy pierwiastek chemiczny we wszechświecie łączy się z innymi poprzez określone wiązania, które tworzą takie a nie inne kąty. Na przykład dwa atomy wodoru połączone z atomem tlenu tworzą swymi wiązaniami kąt około 108 stopni (cząsteczka wody). Ta sama zasada dotyczy wszystkich związków chemicznych. Reasumując: bez określonej struktury przestrzennej żaden związek chemiczny nie miałby swoich indywidualnych właściwości oraz zdolności reagowania w sensie chemicznym, utraciłby też właściwości fizyczne, jakimi charakteryzują się na przykład kryształy, gdzie prawo kątów stałych jest zasadniczą regułą. Jeżeli teraz przypomnę, że kryształy stanowią grubo ponad 90 procent masy wszechświata, to dla Czytelnika staną się zbyteczne długie wywody o znaczeniu geometrii w przepływie energii, ponieważ jest to sprawa oczywista.

Tymczasem luminarze oficjalnej nauki, często nie potrafiąc przełamać stereotypów myślowych, wolą zaprzeczać nowym odkryciom, zwłaszcza w biologii i fizyce, zarzucając niektórym odkrywcom i wynalazcom „mistycyzm” i „pseudonaukowe eksperymenty”. Takim opiniom towarzyszy niekiedy brak dokładnej weryfikacji wyników badań. Mało jest badaczy o interdyscyplinarnym zacięciu i prawdziwym zamiłowaniu do nauki. Takim badaczem-samoukiem był mój zmarły przyjaciel,

dziennikarz radiowy i publicysta, badacz piramid, z zamiłowania matematyk, redaktor Jan Grzędzielski, którego hobby było badanie związku między „złotą proporcją” a energią kształtu. Dzięki niemu zacząłem rozumieć, czym może być geometria i harmonijne proporcje, jaką wielką rolę odgrywa tak zwany ciąg Fibonacciego w dziełach sztuki ludzkiej i biologii, a także w astronomii. Jeździliśmy kilka razy na konferencje poświęcone tematyce „złotego podziału” do Kijowa i Winnicy na Ukrainie, gdzie tłumaczyłem na język rosyjski jego referaty. Były jednymi z najciekawszych. Zmarły w roku 1997 redaktor Jan Grzędzielski zebrał w ciągu blisko trzydziestu lat najwięcej bodaj przykładów „złotej proporcji” w przyrodzie i jako pierwszy w Polsce wykazał, że kształty geometryczne i tworzące je określone optymalne proporcje dają w wyniku nie tylko to, co nazywa się „wrażeniem estetycznym” i co jest nieodzownym atrybutem człowieka kulturalnego, ale też nie mniej ważny „optymalny efekt energetyczny” o czysto fizycznych skutkach.

„Energetyczno-geometryczny kod przyrody” – niepozorna broszurka wydana w roku 1986 przez Jana Grzędzielskiego, mojego pierwszego pozaszkolnego nauczyciela i mentora w wieku dorosłym, otworzyła mi oczy na jedność zjawisk przyrody i konieczność interdyscyplinarnego ich badania, konieczność odrzucenia wyidealizowanych wzorców w nauce i zastąpienia ich żywymi wzorami zaczerpniętymi z żywej Przyrody.

Moim drugim nauczycielem Przyrody, którego poznałem podczas podróży do Rosji w roku 1990, a konkretnie do Nowosybirsk, był entomolog i artysta malarz, niestrudzony badacz i pisarz Wiktor Stiepanowicz Grebiennikow (1927–2001). On to otworzył przede mną zadziwiający świat owadów poprzez piękno swojej Sztuki, po prostu nauczył mnie patrzeć na Przyrodę. Człowiek ten, w latach powojennych represjonowany przez stalinowski reżim, w zdumiewający sposób łączył swoje zamiłowanie do świata owadów z malarstwem oraz zacięciem naukowym i wynalazczym. Ten na wskroś renesansowy umysł łączył w sobie zainteresowanie wszystkimi naukami przyrodniczymi – fizyką,

astronomią, biologią – z głębokim humanizmem, przenikliwością i wiedzą. Był nauczycielem młodzieży z ponad 60-letnią praktyką, cenionym pedagogiem i – użyję tego nieco niemodnego, lecz trafnego określenia – zacnym, dobrym człowiekiem. W pamięci przyjaciół pozostał jako twórca wielu wyjątkowych, jedynych w swoim rodzaju, rezerwatów owadów i kompleksów przyrodniczych, takich jak na przykład reliktowy step (stepy zostały za czasów ZSRR zaorane, a entomofauna w dużej części wyginęła), a także założyciel Muzeum Agroekologii i Ochrony Przyrody w Krasnoobsku pod Nowosybirskiem. To muzeum nie tylko prezentuje tysiące spreparowanych owadów w gablotach, ale też ich barwne wizerunki, które autor malował w różnych ujęciach, malując częstokroć przez lupę... Pracując razem ze swoim synem Sergiejem – również artystą malarzem – Grebiennikow stworzył trójwymiarowy pomnik przyrody – przepiękną Panoramę Stepu Reliktowego, tak zwaną Sferoramę, którą można obejrzeć w Muzeum.

Dla Czytelników „Nexusa” niewątpliwie najciekawszą rzeczą będzie jednak chyba część psychotroniczna Muzeum W. Grebiennikowa, jego przyrządy do badania promieniowań natury biologicznej, a ściślej bioenergogeometrycznych, a także same struktury geometryczne wywołujące wyraźne energetyczne efekty. Co to za przyrządy i jakie to struktury? – zapyta pewnie Czytelnik, który dobrze wie o działaniu „energii piramid” i ich modeli.

Pierwszy przyrząd to wskaźnik obecności promieniowań żywych organizmów: kolba z podwieszoną u góry pajęczą nicią i zawieszonym na niej ukośnie drewnkiem lub kawałkiem węgla do rysowania. Na dnie naczynia jest nieco wody w celu eliminacji elektrostatyki występującej w suchym powietrzu. Podeszedłem do „kolby” na odległość 2–3 metrów i „wskazówka” z węgla zwróciła się w moją stronę, obracając się o jakieś 40 stopni. To samo zaobserwowały inne osoby. Drugim przyrządem psychotronicznym jest neutralizator bólu głowy umieszczony na stojaku nad krzesłem złożony z kilku ramek pszczelich plastrów. Nic nie

jest w stanie przekazać niezwykłych odczuć człowieka trzymającego głowę pod neutralizatorem...

W muzeum można obejrzeć także „wykrywacze sztormu” – dwa słoje ze specjalnym roztworem, który zmienia stan skupienia pod wpływem zmiany pogody. Ciekawość zwiedzających budzą też gniazda pszczoł ziemnych – grudki gliny z otworkami komórek łęgowych... Grebiennikow polecił mi przystawić rękę do porowatej grudki: odczułem coś w rodzaju kłucia, ciepła, a następnie chłodnego powiewu. Nieco dalej stał bęben obwiedziony metalowymi obręczami z tysiącem pionowych rurek z papieru gazetowego – każda miała średnicę ołówka... Dłóż nad tym, jak się okazało, sztucznym gniazdem dla pszczoł miesierek, budujących gniazda z naciętych liści lucerny, odbierała podobne, niezwykłe wrażenia. A jakie, o tym Czytelnik dowie się z zamieszczonego w dalszej części piątego rozdziału książki Grebiennikowa „Mój świat”. Najbardziej istotna jest informacja, że na charakter odkrytej formy promieniowania nie miał wpływu materiał komórek plastrów (rurek), lecz rozmieszczenie, kształt i ilość dziurek (porów, rurek), a więc geometria w czystej postaci. Tego typu struktury potrafią bardzo źle wpływać na stan zdrowia człowieka i wcale nie muszą to być gniazda owadów (na przykład stare, puste gniazda os) – mogą to być sztuczne twory ludzkie, którymi człowiek się otacza, nieświadomy płynących z nich zagrożeń. Struktury-emiter EPS powodują na przykład lokalną zmianę czasu oraz hamują w pewnych warunkach kiełkowanie nasion roślin...

Promieniowanie odkryte w strukturach geometrycznych plastrów pszczoł ziemnych, nazwane Efektem Porowatych Struktur (a dokładniej struktur rurkowato-komórkowo-porowatych), w skrócie EPS, zostało stwierdzone także u pszczoły miodnej, trzmieli, w końcu zaś autor udowodnił, że jego emiterami są także chitynowe części organizmów owadów...

Odkrycie EPS już obecnie można uznać za epokowy przełom w naukach przyrodniczych, ponieważ stało się ono punktem wyjścia do przypadkowego odkrycia bioantygravitacji u owadów, a

następnie do zastosowania tego zjawiska w skonstruowanym przez Grebiennikowa jeszcze przed rokiem 1990 grawitopłanie. Próby wynalazku odbywały się w głębokiej tajemnicy. Autor ujawnia wiele szczegółów w książce „Mój świat”, jednak dla większości Czytelników jest ona niedostępna, gdyż wydano ją w Nowosybirsku w roku 1997 w nakładzie zaledwie 3000 egzemplarzy i... cały nakład jakby zniknął spod lady. Dzięki życzliwości syna Grebiennikowa otrzymałem jeden egzemplarz autorski, na podstawie którego dokonałem przekładu piątego rozdziału zatytułowanego „Lot” zamieszczonego poniżej. Prócz zadziwiających parametrów technicznych, prędkości 25–40 km/min., grawitoplan Grebiennikowa miał dziwną własność – pojawiał się w zdeformowanej formie bądź znikał z pola widzenia, podobnie jak UFO... O tym, w jakich celach był używany przez samego Wynalazcę, Czytelnicy dowiedzą się z lektury przełożonego przeze mnie wspomnianego rozdziału „Mojego świata”.

Wiktor Stiepanowicz Grebiennikow

Tym, którzy interesują się energią orgonową i akumulatorami orgonowymi Wilhelma Reicha, zwracam uwagę na szereg analogii między orgonem Reicha a EPS Grebiennikowa. Ponadto nie mogę pominąć naszego słynnego, zapomnianego już rodaka, wynalazcy ze Lwowa, inż. Franciszka de Welehrad Rychnowskiego, który odkrył „Eteroid” – promieniowanie będące najprawdopodobniej odpowiednikiem orgonu Reicha, lecz uzyskiwanym w odmienny sposób. Wskazują na to rezultaty badań podane przez trzech wymienionych autorów.

Zainteresowanych książką W. Grebiennikowa „Mój świat”, która jest twórczą biografią i zarazem testamentem autora, pragnę poinformować, że jest ona aktualnie tłumaczona i będzie wydana w Polsce. Jest w niej wiele informacji godnych przemyślenia i rozszyfrowania, a także przesłanie adresowane do wszystkich ludzi. Mam nadzieję, że okaże się ono dla Czytelników nie mniej ważne niż sam wynalazek, traktowany przez wielu ludzi jako wytwór fantazji autora...

Wszystkich, którzy pragną podzielić się ze mną swymi uwagami na temat dzieła W. Grebiennikowa, proszę o listy kierowane na adres poczty elektronicznej: Oblok_Magellana@op.pl.

Autorstwo wstępu: Waldemar Gajewski

* * *

Cichy stepowy wieczór. Miedzianoczerwony dysk słońca dotknął już dalekiego mglistego horyzontu. Do domu wyruszać za późno – zatrzymałem się tutaj w swoich owadzych sprawach i układam do snu. Dobrze, że w manierce mam jeszcze wodę i „Detę” przeciw komarom, która jest tu nieodzowna – na stromym brzegu słonego jeziora tych dokuczliwych natrętów jest bez liku.

Rzecz dzieje się na stepie w Kamyszłowskiej Dolinie – pozostałości dawnego potężnego dopływu Irtysza, który na skutek zaorania stepów przeobraził się w głębokie i szerokie koryto z łańcuszkiem takich właśnie słonych jezior.

Jest bezwietrznie – nie drgnie nawet źdźbło trawy. Na wieczornym niebie nad jeziorem przemykają stadka dzikich kaczek, słysząc też poświstywanie czajek. Wysoki perłowy nieboskłon pochylił się nad cichnącym bezmiarem stepu. Jakże tu błogo, na wolnej przestrzeni!

Układam się nad samą skarpą na trawiastej polance, rozściełam płaszc i kładę pod głowę plecak. Przed położeniem się zbieram kilka suchych krowich placków, układam je w stosik, podpalam i oto romantyczny, niezapomniany zapach niebieskawego dymu powoli ściele się po zasypiającym stepie. Kładę się na swoim niewyszukanym łożu i z lubością rozprostowuję zmęczone w ciągu dnia nogi, czując przedsmak jeszcze jednej – co nieczęsto mi się zdarza – wspaniałej stepowej nocy.

Błękitny dym unosi mnie do Krainy Baśni i szybko zapadam w sen: staję się mały, maleńki jak mrówka, a zaraz potem ogromny jak całe niebo – teraz już powinienem zasnąć. Dlaczego jednak dzisiaj te pozorne „przedsenne zmiany” wielkości mojego ciała

są jakieś niezwykle, nadzwyczaj silne. I oto dochodzi do nich coś nowego: wrażenie spadania, jak gdyby ktoś błyskawicznie usunął spode mnie ów wysoki brzeg i jakbym spadał w jakąś nieznana, straszną otchłań!

Nagle zamigotały jakieś rozbłyski, otwieram oczy, lecz błyski nie znikają – płasają po srebrzystoperłowym wieczornym niebie, po jeziorze, po trawie.

Pojawił się ostry metaliczny posmak w ustach, zupełnie jakbym przyłożył do języka styki silnej baterijki. W uszach zaszumiało. Wyraźnie słyszę podwójne uderzenia własnego serca.

I jak tu zasnąć!

Siadam i próbuję odegnać te nieprzyjemne odczucia, lecz nic z tego nie wychodzi, tylko rozbłyski w oczach. Szerokie i rozmyte pasma przekształciły się w wąskie, wyraziste, ni to iskry, ni to łańcuszki, które przeszkadzają patrzeć dookoła.

I wówczas przypomniałem sobie, że bardzo podobne wrażenia odczuwałem kilka lat temu w Zagajniku, a dokładniej w Zaklętym Lesie!

Musiałem wstać i pochodzić po brzegu. Czy wszędzie jest coś takiego?

O, tutaj, metr od urwiska wyraźnie daje się odczuć to „coś”, oddalam się na dziesięć metrów w głąb stepu i to „coś” najwyraźniej znika.

Obleciał mnie strach. Oto ja sam na stepowym odludziu, nad „Zaklętym Jeziolem”... Zebrać manatki i być dalej stąd... Jednak ciekawość bierze tym razem górę. Cóż to znowu, u licha? Może to podziałał tak na mnie zapach jeziora, wodorostów? Schodzę w dół, do stóp urwiska, i siadam nad wodą na wielkiej bryle gliny. Gęsty, słodkawy zapach sapropelu (przegniłych resztek wodorostów) spowija mnie niczym borowinowe błoto w zakładzie przyrodoleczniczym. Siedzę pięć, dziesięć minut, ale nic

nieprzyjemnego nie odczuwam, zatem pasowałoby gdzieś tutaj ułożyć się do snu, lecz tu, na dole, jest za duża wilgoć.

Wdrapuję się na szczyt urwiska i znów ta sama historia! Zawroty głowy, „galwaniczny” kwas w ustach i jak gdyby zmieniała się moja waga – raz jestem niesłychanie lekki, to znów na odwrót – niesłychanie ciężki. W oczach znowu zamigotały kolorowe iskry...

Nie mogłem tego pojąć. Jeśli to rzeczywiście było „miejsce zguby”, jakaś feralna anomalia, to wtedy tu, na górze, nie rosłaby ta bujna trawa i nie gnieździłyby się te ogromne pszczoły, których norkami było upstrzone strome gliniaste urwisko. Przecież szykowałem się do noclegu akurat nad ich podziemnym „pszczołogrodem”, którego wnętrze kryje mnóstwo przejść, komór, larw, poczwerek, żywych i zdrowych.

A jednak tamtym razem niczego nie pojąłem. Niewyspany, z ociężałą głową, wczesnym letnim rankiem powędrowałem, jeszcze nim wzeszło słońce, w stronę traktu, by przygodnym samochodem dojechać do Isilkulu.

Tamtego lata nad Zaklętym Jeziolem byłem jeszcze cztery razy o różnych porach dnia i w różną pogodę. Pod koniec lata moje pszczoły wylatywały stąd w niewiarygodnych ilościach, dostarczając skądś do norek jasnożółty pyłek kwiatowy – jednym słowem miały się znakomicie, czego nie można było powiedzieć o mnie w odległości jednego metra od urwiska, gdzie dawał o sobie znać wyraźny „zespół” jak najgorszych odczuć, których nie miałem z kolei w odległości pięciu metrów...

I znowu niedowierzanie – a dlaczego to właśnie w tym miejscu mają się dobrze rośliny i te gnieźdzące się tutaj w wielkiej mnogości pszczoły? Do tego stopnia, że urwisko jest tak upstrzone ich norkami, że wygląda – nie przymierzając – jak szwajcarski ser, a miejscami prawie jak gąbka.

Pszczoła ziemna smuklik (*Halicta quadricincta*) – owad, który naprowadził autora na odkrycie efektu porowatych struktur.

Rozwiązanie tej zagadki przyszło wiele lat później, kiedy „pszczołogród” w Kamyszałowskiej Dolinie uległ zagładzie. Orne pola podeszły pod samą skarpe, która z tego powodu oberwała się. Teraz nie ma tam żadnej norki ani żdźbła trawy, jest za to ogromne, paskudne zwałowisko. Pozostała mi jedynie garstka starych glinianych ułamków – szczątków tych gniazd – z licznymi komórkami-dzbanuszkami. Komórki były rozmieszczone jedna obok drugiej i przypominały malusieńkie naparstki, a właściwie dzbanuszki o łagodnie zwężających się szyjkach. Wiedziałem już, że te pszczoły należą do gatunku smuklików (*Halicta quadricincta*) – „haliktów czteropasmówek” od liczby jasnych prążków na wydłużonych brzuszka.

Na moim roboczym stole zastawionym przyrządami, gniazdami mrówek, polnych koników, kolbami z odczytnikami i innymi szpargałami znajdowała się szeroka misa wypełniona tymi pokrytymi dziurkami kawałkami gliny. Akurat potrzebowałem wziąć coś i wyciągnąłem rękę.

I oto stał się cud: nad szczątkami porowatych gniazd niespodziewanie poczułem ciepło... Dotknąłem porowatych bryłek i okazało się, że są zimne, tymczasem nad nimi miało się wyraźne wrażenie ciepła. W dodatku w palcach pojawiły się jakieś nieznane mi wcześniej skurcze, szarpnięcia i „tiki”.

Szczałki starego gniazda pszczoł smuklików. (Na zdjęciu widoczne wejścia do komórek, część pionowego chodnika – podłużne wgłębienie).

Kiedy przesunąłem miskę z gniazdami na skraj stołu i pochyliłem nad nią twarz, odczułem to samo co nad Jeziolem – głowa zrobiła się jakby lekka i ogromna, przeogromna, ciało jakby runęło w dół, w oczach rozbłysły eksplozje iskier, a w ustach poczułem posmak baterijki, lekkie mdłości...

Położyłem na wierzchu kawałek kartonu, ale odczucia nadal były takie same. Przykryłem gniazda pokrywką od garnka, ale efekt był taki, jakby jej wcale nie było – to „coś” na wskroś przenikało przeszkodę.

Należało niezwłocznie zbadać ten fenomen. Co jednak mogłem zrobić w domu bez jakichkolwiek fizycznych przyrządów? W badaniach gniazd pomagali mi pracownicy wielu instytutów naszego akademickiego miasteczka WASCHNIŁ [1]. Jednak przyrządy w najmniejszym stopniu nie reagowały na nie – ani superdokładne termometry, ani detektory ultradźwięków, ani elektrometry, ani magnetometry. Przeprowadzono ścisłą analizę składu chemicznego gliny, ale nic szczególnego nie znaleziono. Radiometr także milczał...

Rysunek górny – schematyczny przekrój gniazda pszczoł smuklików blisko jego najgłębszej części; rysunek dolny – szczątki gniazd pszczoł smuklików ułożone otworkami do góry dają szczególnie silne promieniowanie.

Za to ręce, zwykłe ludzkie ręce – i to nie tylko moje! – wyraźnie odczuwały nad gniazdami to ciepło, to jakby chłodny wiaterek, to z kolei mrowienie, to tiki, to znów gęstszy ośrodek, coś na podobieństwo kisielu. U jednych ręka „ciężyła”, a u innych coś jak gdyby podrzucało ją do góry, niektórym drętwiały palce, mięśnie przedramienia doznawały skurczu, kręciło się w głowie, obficie wydzielała się ślina.

W podobny sposób zachowywała się wiązka papierowych rurek, od góry do dołu zasiedlonych przez miesierki Megachile – pszczoły nacinające liście. W każdym z tuneli znajdował się nieprzerwany łańcuszek wielowarstwowych kubeczków wykonanych ze skrawków liści, zamkniętych wklęsłymi, okrągłymi wieczkami – także z liści. Wewnątrz kubeczków znajdowały się jedwabne owalne kokony z larwami i poczwarkami. Ludziom, którzy nic nie wiedzieli o moim odkryciu, proponowałem, żeby potrzyimali dłoń lub twarz nad gniazdem pszczoł Megachile, po czym wszystko skrzętnie notowałem. Rezultaty tych niezwykłych eksperymentów można znaleźć w moim artykule „O fizyczno-biologicznych właściwościach gniazd pszczoł zapylających” opublikowanym w trzecim numerze pisma „Sibirskij wiestnik sielskochoziajstwiennoj nauki” z roku 1984.

Sztucznie wykonane gniazdo miesierek (Megachile) – pszczoł

nacinających liście lucerny i budujących z nich komórki. Setki papierowych rurek z papieru gazetowego o średnicy ołówka tworzy gniazdo; każda z rurek wypełniona jest zwiniętymi skrawkami liści tworzących szereg pojedynczych komórek. Im więcej komórek, tym silniejsze promieniowanie.

Właśnie tam sformułowana została treść odkrycia – związane wyjaśnienie tego zadziwiającego zjawiska z punktu widzenia fizyki.

Wychodząc od pszczelich gniazd, sporządziłem kilkadziesiąt sztucznych „plastrów” z plastyku, papieru, metalu, drewna i okazało się, że przyczyną wszystkich tych niezwykłych odczuć nie jest żadne „biopole”, lecz rozmiary, kształt, ilość i wzajemne rozmieszczenie porowato-rurkowatych struktur zbudowanych z dowolnych ciał stałych. I tak jak poprzednim razem organizm czuł to, a przyrzędy „milczały”.

Odkrytemu zjawisku nadałem nazwę efektu porowatych struktur (EPS). Uparcie kontynuowałem i różnicowałem doświadczenia, a Przyroda nadal odkrywała przede mną, jedną po drugiej, swoje najskrytsze tajemnice...

Okazało się, że w strefie działania EPS daje się zauważyć znaczne zahamowanie rozwoju saprofitycznych [2] bakterii glebowych, drożdży i innych gatunków grzybów, kiełkowania nasion pszenicy, ponadto zmienia się zachowanie mikroskopijnych ruchomych glonów chlamidomonad, pojawia się świecenie larw pszczoł Megachile, poza tym dorosłe pszczoły zachowują się w tym polu o wiele aktywniej, zaś pracę związaną z zapylaniem roślin kończą o dwa tygodnie wcześniej.

Hamowanie rozwoju ziaren pszenicy przez struktury porowate. W próbce z lewej strony – ziarno poddane działaniu EPS; z prawej strony – próbka kontrolna. Doświadczenie wykonano 7 grudnia 1983 roku w Nowosybirsku, pszenica – po 62 ziarna.

Okazało się, że działania EPS nie da się niczym ekranować, że podobnie jak grawitacja, działa ono na żywe organizmy poprzez ściany, grube metalowe powłoki i inne przeszkody.

Okazało się, że jeśli przemieści się porowaty obiekt na nowe miejsce, to człowiek nie od razu odczuje EPS, lecz po upływie kilku sekund lub minut, natomiast na poprzednim miejscu pozostaje „ślad” lub – jak go żartobliwie nazwałem – „fantom”, który jest odczuwalny dłonią po upływie kilkadziesiąt minut, a nawet miesięcy.

Okazało się, że pole EPS nie zmniejsza się wokół plastrów równomiernie, lecz otacza je cały system niewidzialnych i niekiedy bardzo wyraźnie odczuwalnych „powłok”.

Okazało się, że zwierzęta (białe myszy) i ludzie, którzy dostali się w strefę działania nawet silnego EPS, po pewnym czasie przyzwyczajają się do niego, adaptując się. Nie może być inaczej, bowiem zewsząd otaczają nas liczne wielkie i małe otwory, kratki, komórki żywych i martwych roślin (także nasze własne), pęcherzyki wszelkiego rodzaju poliuretanów, sztucznych pianobetonów, pokoje, korytarze, sale, dachy, przestrzenie między detalami pulpitów, przyrządów, maszyn, między drzewami, meblami i budynkami.

Okazało się, że „słup” albo „promień” EPS działa silniej na żywe organizmy, gdy jest skierowany w stronę przeciwną do Słońca, a także w dół, do środka Ziemi.

Okazało się, że w silnym polu EPS czasami zauważalnie „okłamuje” zegar, zarówno mechaniczny, jak i elektroniczny, co oznacza, że Czas też gra tu rolę.

Działanie wielokomórkowych struktur porowatych na hodowlę glonów *Chlamydomonas*. (Z prawej strony próbka poddana działaniu EPS, widać przyspieszenie biegu czasu, zanik komórek glonów; z lewej strony próbka kontrolna, bieg czasu bez zmian, rozwój glonów w normie. Przy zegarkach zapisano datę doświadczenia – 15 kwietnia 1985 roku).

Okazało się, że wszystko to jest przejawem Fal Materii znajdującej się w wiecznym ruchu, wiecznie zmieniającej się, wiecznie istniejącej, i że za odkrycie tych fal fizyk Louis de Broglie już w latach dwudziestych (XX wieku – przyp. tłum.)

otrzymał nagrodę Nobla. To właśnie te fale wykorzystuje się w mikroskopach elektronowych.

Okazało się... Jeszcze bardzo wiele się okazało, ale to zaprowadziłoby nas do fizyki ciała stałego, mechaniki kwantowej, fizyki cząstek elementarnych, czyli daleko od głównych bohaterów naszej opowieści – owadów.

...Ostatecznie udało mi się mimo wszystko zrobić przyrządy do obiektywnej rejestracji EPS, świetnie reagujące na bliskość owadzich gniazd. Oto one (na poniższym rysunku): hermetyczne naczynia, w których na pajęczych nitkach podwieszone są ukośnie kawałeczki słomy i opalone gałązki – kawałeczki węgla do rysowania. Na dnie naczyń jest nieco wody, aby wyeliminować wpływ elektrostatyki stanowiącej przeszkodę dla doświadczeń w suchym powietrzu.

Działanie strukturami komórkowymi starego gniazda os na szereg wskaźników zbudowanych z kawałów węgla do rysowania podwieszonych na pajęczej nici. Nic pajęcza nie ulega skręceniu i umożliwia obiektywną rejestrację ruchu wskaźników pod wpływem struktur porowato-komórkowych.

Na górną część takiego wskaźnika nakierowuje się stare gniazdo os, pszczele plastry, wiązkę kłosów i wskaźnik powoli odchyła się o dziesiątki stopni... To nie żaden cud – energia migocących elektronów obydwu ciał o wielu strukturach porowatych tworzy w przestrzeni układ sumarycznych fal, a jak wiadomo, fala to energia zdolna do wykonania pracy polegającej na wzajemnym odpychaniu się tych przedmiotów nawet przez przeszkody, takie jak na przykład grubościenna stalowa kapsuła. Trudno sobie wyobrazić, że poprzez jej pancierz bez trudu przenikają fale kruchego, lekkiego gniazda os. Wskaźnik wewnątrz tej ciężkiej głuchej kapsuły odchyła się od dawno opuszczonego gniazda os czasem o pół obrotu. To dzieje się naprawdę. Wątpiącym radzę odwiedzić Muzeum Agroekologii pod Nowosybirskiem, gdzie zobaczą to na własne oczy.

Właśnie tam, w muzeum, stoi zawsze działający plastrowy neutralizator bólu. Każdy, kto usiądzie na krześle pod

futerałem, w którym znajduje się kilka ramek z pustymi, lecz pełnowymiarowymi plastrami pszczoły miodnej (przez pszczelarzy zwanymi „węzą”), prawie na pewno poczuje coś po kilku minutach (a co, napiszcie mi o tym, za co będę wdzięczny), zaś osoba, którą boli głowa, po kilku minutach pozbędzie się bólu, w każdym razie na kilka godzin.

Neutralizator bólu głowy zbudowany z kilku ramek pustych plastrów pszczelich; wynalazek ten ma zastosowanie w niektórych szpitalach w Rosji.

Moje neutralizatory bólu są z powodzeniem stosowane w różnych zakątkach Rosji – nie trzymałem tego odkrycia w sekrecie. Promieniowanie jest wyraźnie wyczuwalne za pomocą ręki, jeśli przybliży się dłoń od dołu do futerału z plastrami, który może być wykonany z kartonu, sklejk, a jeszcze lepiej z blachy o zalutowanych szczelnie krawędziach.

Schematyczny przekrój budowy neutralizatora bólu.

Ot, jeszcze jeden owadzi podarunek...

Na początku rozumowałem tak: z pszczołą miodną ludzie mają do czynienia od tysiący lat i nikt nie skarżył się na coś nieprzyjemnego, oczywiście oprócz przypadków użądlenia przez te owady. Pottrzymałem ramkę z węzą nad głową i okazało się, że to działa! Zatrzymałem się na komplecie sześciu ramek. Ot, i cała historia tego w końcu niezbyt wymyślnego wynalazku.

Zupełnie inaczej działa stare gniazdo os, chociaż wymiary i kształt jego komórek są bardzo zbliżone do pszczelich. Lecz tu tkwi także istotna różnica – materiał komórek, w odróżnieniu od plastrów z wosku, jest bardziej pulchny i mikroporowaty – to papier (à propos, papier po raz pierwszy został wynaleziony nie przez ludzi, ale przez osy; zeskrobuja one stare drewniane włókno i mieszają je z lepką śliną), ścianki komórek są o wiele cieńsze od pszczelich, rozmieszczenie i wymiary plastrów także są inne, a i zewnętrzna powłoka, zbudowana również z papieru, składa się z kilku warstw, z zachowaniem między nimi odstępów. Napływały do mnie informacje o bardzo

niekorzystnym oddziaływaniu kilku gniazd os zbudowanych na strychu. W ogóle większość urządzeń i obiektów zbudowanych z wielu komórek, odznaczających się silnie działającym EPS, w pierwszych minutach lub godzinach działa na ludzi bardzo niekorzystnie – plastry pszczoły miodnej stanowią jeden z niewielu wyjątków. [...]

Osa z gatunku Chrysidoidea – portret owada wykonany przez W. Grebiennikowa. Na chitynowych powłokach ciała owada widać głębokie jamki i zagłębienia, których celem jest wytworzenie ochronnego pola – osa z tego gatunku podkłada swoje jaja do gniazd innych os i pszczół.

Zapewne znużyłem Czytelnika tymi plastrami, strukturami, kratkami... Aby opisać wszystkie moje doświadczenia, należałoby napisać oddzielną grubą książkę, dlatego wspomnę tylko, że w polu EPS niejednokrotnie zawodził mnie mikrokalculator BZ-18A zasilany z baterii – raz okrutnie „kłamał”, a innym razem przez kilka godzin w ogóle nie zapalał się jego wyświetlacz. Działałem na niego gniazdem os wzmocnionym EPS moich dwóch dłoni – oddzielnie te struktury nie miały wpływu na kalkulator.

Chciałbym zauważyć, że dłonie z rurkowatymi kośćmi palców, stawami, ścięgnami, więzadłami, naczyniami, paznokciami to intensywne emitery EPS mogące odepchnąć na odległość paru metrów węglowy lub słomiany wskaźnik mojego opisanego wyżej przyrządu. To udaje się dosłownie wszystkim. Dlatego jestem absolutnie przekonany, że żadnych „ekstrasensów” nie ma, a dokładniej wszyscy ludzie są sensytywni... A tych, którzy mogą w ten sam sposób przemieszczać na odległość niezbyt ciężkie przedmioty po stole, utrzymywać je w powietrzu lub „przyklejone” do dłoni, jest znacznie więcej, niż się przyjmuje. Pokazują ich w telewizji jako swego rodzaju cud. Spróbujcie sami. Czekam na wasze listy. [...]

Wpływ EPS na kiełkowanie ziaren pszenicy. Odległość między próbką eksperymentalną (pod „kratakami”) a szalką kontrolną wynosi 90 cm. W szalce eksperymentalnej ziarna prawie całkiem zginęły.

Pewnego razu doznałem olśnienia: przecież rezultaty moich doświadczeń z owadziemi gniazdami są bardzo podobne do informacji ludzi, przebywających w pobliżu... UFO. Proszę przypomnieć sobie i porównać tymczasowe wyłączenie urządzeń elektronicznych, „sztuczki” z zegarkiem, to znaczy z czasem, niewidzialną elastyczną „przeszkodę”, czasowe zmniejszenie ciężaru przedmiotów, uczucie zmniejszenia ciężaru człowieka, fosfeny (kolorowe ruchome „obrazki” w oczach), galwaniczny posmak w ustach...

Wychodzi na to, że stanąłem u progu jeszcze jednej tajemnicy. I znowu pomógł mi przypadek, a raczej moi przyjaciele owady. [...]

LOTY NA ANTYGRAWITACYJNEJ PLATFORMIE

Oceńcie to sami na podstawie fragmentów moich roboczych dzienników przerezegowanych dla potrzeb tej książki, to znaczy uproszczonych i skróconych. W tej ocenie pomogą wam fotografie i rysunki.

...Upalny letni dzień. Dał horyzontu tonie w błękitnawoliliowej mgiełce, w górze nad polami i zagajnikami wznosi się gigantyczna kopuła nieba z zastygłymi pod nim pulchnymi obłokami. Spoczywają jakby na ogromnej przezroczystej tafli szkła, dlatego ich spody są wyrównane, płaskie, a górne części tak oślepiająco oświetlone słońcem, że aby na nie patrzeć, trzeba zmrużyć oczy.

Grawitoplan Grebiennikowa (widok w stanie przedroboczym – 1990 rok).

Lecę jakieś trzysta metrów nad ziemią, za punkt orientacyjny obrawszy odległe jezioro – jasną podłużną plamę w mglistej dali. Ciemnoniebieskie obrzeża dziwacznych zarysów powoli odchodzą do tyłu. Między nimi widać płachty pól – błękitnawo-zielone to owies, bielejące prostokąty z jakimś niezwykłym drobnym, drobniutkim migotaniem to gryka, pode mną rozciąga się pole lucerny, którego zieleń pod względem odcienia

najbliższa jest artystycznej farbie „kobalt zielony średni”, ciągnące się z lewej strony zielone oceany pszenicy mają odcień bardziej intensywny i, jak mówią artyści malarze, przypominają farbę o nazwie „tlenek chromu”. Ogromna wielobarwna paleta płynie i płynie do tyłu...

Wśród pól i zagajników wiją się ścieżki. Zbiegają się ku gruntowym drogom, a te z kolei ciągną się hen do szosy, na razie niewidocznej stąd z powodu mgły, ale ja wiem, że jeśli polecą się na prawo od jeziora, to na pewno się ukaze – równa, równusieńka jasna wstęga bez końca i początku, po której poruszają się samochody – leniwie pełznące po jasnej wstędze drobniuteńkie pudełeczka.

Na osłonecznionym lasostepie malowniczo rozplaszczyły się różnej wielkości cienie kłębiastych obłoków, które są nade mną – granatowe tam, gdzie zagajniki są zasłonięte, zaś na polach w różnych odcieniach błękitu.

Teraz akurat jestem w cieniu takiego obłoku. Zwiększam prędkość – mogę to zrobić z łatwością – i wylatuję z cienia. Pochyliłam się nieco do przodu i czuję, jak z dołu, od rozgrzanej w słońcu ziemi i roślin, ciągnie ciepły powiew wiatru, nie z boku jak na ziemi, ale nietypowo, z dołu do góry. Fizycznie odczuwam gęstą intensywną strugę niosącą silny zapach kwitnącej gryki. Taka struga może bez trudu unieść nawet dużego ptaka, jeśli rozłoży nieruchomo skrzydła – orła, żurawia lub bociana.

Ale mnie trzymają w powietrzu nie wstępujące prądy powietrza – ja nie mam skrzydeł. Lecę stojąc na płaskiej prostokątnej platformie, nieco większej od oparcia krzesła, ze stojakiem i dwiema rękojeściami, za które się trzymam i za pomocą których kieruję aparatem.

Fantastyka? Jak by tu rzec... Jednym słowem, musiałem na całe dwa lata odłożyć pisanie tej książki, ponieważ szczodra i sędziwa Przyroda niespodziewanie znów zdradziła mi poprzez

moich przyjaciół – owady – To i Owo, zrobiwszy to jak zawsze wytwornie i bez narzucania się, lecz za to szybko i przekonująco. I przez dwa lata to odkrycie nie pozwalało mi się od siebie oderwać, jakkolwiek „ujarzmianie” go odbywało się, jak mi się zdawało, w szybkim tempie, albowiem zawsze, gdy rzecz jest ciekawa i nowa, czas leci prawie dwukrotnie szybciej.

Jasna plamka stepowego jeziora wyraźnie przybliżyła się i urosła. Za nią widać szosę z wyraźnie widocznymi już stąd, z wysokości, pudełeczkami samochodów. Szosa ciągnie się jakieś osiem kilometrów od biegnącej równolegle linii kolejowej. Hen tam, jeśli dobrze się przypatrzyć, dostrzec można słupy sieci trakcyjnej i jasny nasyp torowiska. Pora skrócić jakieś dwadzieścia stopni w lewo.

Z dołu nie jestem widoczny i to nie tylko z powodu odległości – nawet przy bardzo niskim locie przeważnie wcale nie rzucam cienia. Mimo wszystko jednak ludzie, jak się później dowiedziałem, czasami coś niecoś widzą w tym punkcie nieboskłonu – albo jasną kulę lub dysk, albo coś na podobieństwo pionowego lub ukośnego obłoczku poruszającego się wedle ich opisu jakoś „nie tak jak obłok”. Ktoś zaobserwował „płaski nieprzezroczysty kwadrat o powierzchni hektara” – być może była to powiększona na skutek złudzenia platformka mojego aparatu?

Wyjaśnienie złudzeń optycznych podczas lotu na grawitopłanie (napis na rysunku: „Podczas obserwacji z dołu aparat albo nie jest widoczny – promienie zakrzywiając się obchodzą go łukiem (a) – albo jest widoczny w postaci silnie zdeformowanej – jako plazmoid, dysk lub kula (b). Bardzo uproszczony schemat. W. Grebiennikow”).

Najczęściej jednak ludzie niczego nie widzą i póki co jestem z tego zadowolony – różnie bywa. Tym bardziej że dotąd nie ustaliłem, od czego zależy „widzialność-niewidzialność”. I dlatego, przyznam się, dokładam starań, aby unikać w podobnej sytuacji spotkań z ludźmi. W tym celu omijam z dala miasta i

osady, zaś drogi i ścieżki przecinam na dużej prędkości, upewniwszy się, że nikogo na nich nie ma.

W tych wycieczkach, odbieranych przez Czytelnika niewątpliwie jako fantastyka a dla mnie będących prawie chlebem powszednim, dowierzam tylko im – przedstawionym na tych kartkach moim przyjaciołom-owadom. Pierwsze praktyczne zastosowanie mojego ostatniego odkrycia miało i ma obecnie sens entomologiczny – zbadanie drogich mojemu sercu zakątków, utrwalenie ich z góry, znalezienie nowych, nie znanych mi, czekających na ocalenie i ochronę Krain Owadów.

Niestety, przyroda od razu postawiła przede mną surowe ograniczenia, jak w naszych samolotach pasażerskich: chcesz patrzeć – patrz, lecz fotografować nie wolno. Tu tak samo, jeśli nie gorzej – nie zamykała się migawka, a zabrane klisze fotograficzne, jedna kaseta w aparacie a druga w kieszeni, okazały się od początku do końca silnie naświetlone. Na wysokości nie wychodziły także szkice terenu – obie ręce są prawie cały czas zajęte, tylko jedną można na dwie, trzy sekundy zwolnić. Tak więc pozostało prawie jak poprzednio rysowanie z pamięci. Wszystko w porządku, jeśli udaje się to zrobić zaraz po lądowaniu. Chociaż jestem artystą malarzem, muszę wyznać, że pamięć wzrokową mam nie najlepszą...

Ten lot zupełnie nie przypomina tego, co odczuwamy w śnie – właśnie od takiego snu zaczynałem kiedyś tę książkę. I jest to nie tyle satysfakcja, ile praca, niekiedy bardzo trudna i nie pozbawiona niebezpieczeństw. Trzeba nie szybować, lecz stać, ręce są wiecznie zajęte, kilka centymetrów od ciebie znajduje się granica oddzielająca „tę” przestrzeń od „tamtej”, zewnętrznej, granica niewidoczna i bardzo zdradliwa. Moje dzieło jest na razie dość niepozorne i jeśli cokolwiek przypomina, to może... szpitalną wagę. Ale przecież to dopiero początek!

À propos, prócz aparatu fotograficznego bardzo poważnie nawalał mi zegarek i prawdopodobnie zawodził kalendarz.

Lądując, powiedzmy, na znajomej polanie, zastawałem ją, co prawda rzadko, w stanie nie odpowiadającym właściwej porze, z „odchyleniem” do tygodnia w tę lub w drugą stronę, co nie sposób było dokładnie ustalić. A zatem przemieszczać się można nie tylko w przestrzeni, ale i, jak na to wygląda, w czasie! Co do tego ostatniego nie mogę gwarantować stuprocentowej pewności, mogę jedynie stwierdzić, że podczas lotu, zwłaszcza na początku, zegarek kłamie – z początku spóźnia się, a potem spieszy, lecz pod koniec wycieczki wskazuje czas dokładnie co do sekundy. Oto dlaczego podczas takich podróży unikam ludzi. Co jeśli wraz z grawitacją zadziała w tym przypadku również czas, powodując nagłe zachwianie nieznanych mi więzi przyczynowo-skutkowych i ktoś spośród nas ucierpi? Mam powody, by mieć takie obawy, albowiem zabrane „tam” owady, włożone do próbek, pudełek i innych pojemników... znikają, najczęściej bez śladu.

Jednego razu próbówka w kieszeni została roztrzaskana na drobne okruchy, innym razem w próbówce pojawiła się owalna dziurka o brązowych, jakby chitynowych krawędziach – widzicie ją na zdjęciu. Niejednokrotnie czułem poprzez tkaninę kieszeni coś na podobieństwo, ni to ucisku, ni to uderzenia prądu – na pewno w momencie „zniknięcia” mojego więźnia. I tylko jeden raz w próbówce pozostał wzięty przeze mnie owad, przy czym nie był to dorosły osobnik, gąsienicznik z rodziny Ichneumonidae z białymi prążkami na wąsach, ale jego poczwarka, czyli poprzednie stadium. Była żywa i przy dotyku poruszała brzuszkiem. Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu po tygodniu zginęła i uschła.

Widok próbówki, w której umieszczono przed startem owada; po wylądowaniu grawitoplanu – owad zniknął, zaś w próbówce został wytopiony owalny otwór.

Najlepiej lata się (piszę to świadomie bez cudzysłowu!) w letnie pogodne dni. Podczas deszczowej pogody jest to bardzo utrudnione, a nie wiadomo, dlaczego w ogóle nie wychodzi zimą. Jednak nie dlatego, że jest zimno – mógłbym przecież odpowiednio udoskonalić swój aparat lub zrobić drugi, lecz

zimowe loty mnie, entomologowi, po prostu nie są potrzebne.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Wiktor Stiepanowicz Grebiennikow

Tłumaczenie: Waldemar Gajewski

Źródło: [„Nexus” nr 2 \(40\) 2005](#)

PRZYPISY

[1] W dawnym ZSRR skrót nazwy Wsiesojuznaja Akademia Sielskochoziajstwiennych Nauk imieni W.I. Lenina (Wszechzwiązkowa Akademia Nauk Rolniczych im. W. Lenina). Obecnie WASCHNIŁ oznacza w mowie potocznej położony na peryferiach Nowosybirsk Krasnoobsk – miasteczko uczonych tejże akademii rolniczej.

[2] Organizmy odżywiające się martwymi szczątkami roślin.